Jak nazywała się twoja Babcia i twój Dziadek ze strony twojej Mamy, skąd pochodzili, co wiesz na temat ich rodziny – czy mieli rodzeństwo, ilu mieli braci ile sióstr?

Jeśli pamiętasz - gdzie i jak mieszkali, gdzie pracowali. Ile czasu z nimi spędzałeś.

Drogi Kochany Wnusiu Szymusiu!

Moich Dziadków osobiście nie znałem, ponieważ kiedy ja się urodziłem to Oni już nie żyli, więc opiszę i namaluję Ci o Ich życiu to co opowiadała mi moja Mama i Tata.

Moja Babcia, ze strony Mojej Mamy, urodziła się w 1881 roku, na Polesiu, niedaleko miasta Zambrów, we wsi Cieciorki, na chrzcie nadano jej imię Felicja.

Mała Felicja posiadała trzech braci i cztery siostry i wraz z nimi żyła sobie szczęśliwie na Poleskiej wiosce , chociaż czasem kiedy słyszała prowadzone w jakiś dziwny, potajemny sposób rozmowy rodziców, cioć i wujków, o tym, że nie ma Polski i nie wiadomo, czy kiedyś się odrodzi - robiło Jej się smutno. Była jeszcze zbyt mała aby to wszystko zrozumieć, ale czuła że dzieje się coś bardzo złego.

Tak, dla wszystkich dorosłych Polaków, ale i dla ich dzieci, był to czas okropny - najeźdźcy (w przypadku mojej Babci Felicji byli nimi Rosjanie) zakazali używać języka polskiego zarówno w urzędach, sklepach, szkołach, jak też w domach. Wyobraź sobie Szymusiu, że nie możesz mówić po polsku - zarówno w domu z rodzeństwem i rodzicami, ale też w szkole z nauczycielami i kolegami, a nawet w sklepach i różnych urzędach.

Mała Felicja chodziła do szkoły która znajdowała się w pobliskim miasteczku Zambrów łatwo powiedzieć pobliskim – było odległe od wioski Cieciorki o ponad cztery kilometry, w lecie to drobiazg, ale zimą?

Dobrze że rodzice Babci i sąsiedzi organizowali dojazdy – w zimie, głównie saniami ciągnionymi przez konie (w tamtych czasach nie było samochodów) taka jazda mogła być nawet fajna.

W szkole nauczanie i rozmowy prowadzono w języku rosyjskim, za mówienie po polsku zarówno dzieciom, jak i nauczycielom groziły srogie kary, na przykład – klęczenie w kącie na grochu – to dotyczyło dzieci, a nauczycielom groziło nawet więzienie. Rodzice w domu (potajemnie) uczyli dzieci języka polskiego, we wsi wszyscy rozmawiali po polsku, chyba że nadchodził policjant, lub jakaś nieznana, obca osoba – wówczas przerywano rozmowę, lub rozmawiano po rosyjsku.

Kiedy Felicja była już dużą, prawie osiemnasto letnią dziewczynką – poznała młodego leśniczego Stasia Jastrzębskiego.

Bardzo się sobie spodobali, spotykali się najczęściej jak tylko mogli i nie minął rok, jak Stanisław poprosił rodziców Felicji o rękę ich córki.

Rodzice Felicji i Stanisława wyrazili zgodę, odbył się ślub w pobliskim kościele i huczne wesele.

Młodzi małżonkowie zamieszkali w leśniczówce którą dowodził Staś Jastrzębski, tam przyszły na świat ich dzieci: Nastazja, Zofia, Jadwiga, Janek, Kazimiera (w przyszłości moja Mama) i bliźnięta; Wanda i Józef.

Mój Dziadek Stanisław, można powiedzieć że, kierował i nadzorował pracą gajowych tak żeby las się rozrastał, a zwierzyna leśna była zdrowa i bezpieczna, bo podli kłusownicy od najdawniejszych czasów , po dzień dzisiejszych są dla nich zagrożeniem.

Babcia Felicja z taką gromadką dzieci miała pełne ręce roboty, ale jak to wspominała moja Mama, zawsze znalazła wolną chwilę na zabawę i rozmowę z dziećmi.

W pomięci mojej mamy szczególnie utkwiły wydarzenia związane ze świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocy.

W tych odległych dla nas czasach, nie było tak jak dziś sklepów z ozdobami, bogato wyposażonych w tysiące wymyślnych łańcuchów, bombek, lampek, laleczek, plastykowych jaj kurzych malowanych w: kwiatki, rybki, zwierzątka, itp. Musimy też pamiętać o tym, że w tych czasach małe miasteczka, wioski a już z całą pewnością leśniczówki nie posiadały energii elektrycznej. Mieszkania oświetlane były świeczkami.

Świeczki na choince dawały specyficzny nastrój i atmosferę, ale stanowiły ogromne zagrożenie pożarem i mogły być zapalane tylko w obecności rodziców, a ponieważ były dość drogie palono je bardzo krótko.

Zabawki i stroiki choinkowe, kolorowe pisanki, koszyczki do święconki, wykonywały dzieci często przy pomocy rodziców – już na wiele tygodni przed świętami.

Moja mama opowiadała mi, jak to przed świętami Bożego Narodzenia Jej Tata przynosił do mieszkania piękną dużą choinkę, którą przyozdabiano wykonanymi własnoręcznie ozdóbkami, a na drugiej choince – rosnącej przed domem, zawieszano kawałki chleba, okruszki ciasta, plastry kiełbasy, słoniny, marchewki, a nawet kartofle - te ozdóbki musiały być codziennie uzupełniane – ( na pewno Zgadniesz dlaczego) .

Ulubioną zabawą dzieci i rodziców, było podglądanie przez leciutko rozsunięte w oknach zasłonki jak zwierzęta początkowo ze strachem, ale po kilku dniach coraz śmielej podjadają te ozdóbki.

Przychodziły nie tylko ptaszki, zajączki i sarenki, ale nawet dziki i wilki.

Życie państwa Jastrzębskich i ich dzieci płynęło wśród pól i lasów Polesia jak w Raju – tak nieraz mówiła starsza siostra mojej Mamy – moja ciocia Zosia.

Tak jednak bywa w życiu, że to co dobre kończy się i przychodzą czasy bardzo, bardzo trudne.

Jest rok 1913 – na świecie dochodzi do napięć, powstań, rewolucji i wojen.

W tym trudnym czasie przychodzi na świat piąte dziecko Felicji i Stanisława – jest to dziewczynka, której dają na imię Kazimiera (po latach będzie ona moją Mamą – Ewy i Krzysia Babcią, a Szymusia Prababcią).

Życie w leśniczówce toczy się normalnym rytmem, chociaż coraz częściej napływają do leśniczówki niepokojące wieści.

Nadchodzi tragiczny dla świata dzień 28 lipca 1914 roku, wybucha I Wojna Światowa.

Przez leśniczówkę przetaczają się oddziały wojsk rosyjskich i różne grupy zbrojne, a nawet jak to w takich czasach bywa zwykli - rabusie. Jak wynikało z opowieści mojej Mamy i Cioci Zosi Dziadek Stanisław jakimś cudem to wszystko przetrzymał i nawet rodzina się powiększyła bo pod koniec 1917 roku urodziły się bliźniacy którym nadano imiona: dziewczynce – mojej Cioci Władysława i mojemu Wujkowi Józef.

Jak po burzy przychodzi słońce, tak po wojnie nastaje pokój. Jest listopad 1918roku kończy się tragiczna I Wojna Światowa i po blisko dwustu latach niewoli Polska odzyskuje niepodległość. Felicja i Stanisław są szczęśliwi, skończyła się wojna, Nastazja i Zofia są już dużymi dziewczynkami, pozostałe dzieci są zdrowe i szybko dorastają.

Nagle tragedia - jest rok 1921 Dziadek Stanisław jest bardzo chory, lekarze są bezsilni po kilku dniach umiera.

Babcia Felicja zostaje sama, z gromadką dzieci, najmłodsze mają zaledwie cztery lata.

Leśniczówka w której zamieszkiwali była mieszkaniem służbowym, które po śmierci Dziadka rodzina musiała opuścić w ciągu trzech miesięcy.

Babcia wraz z Dziećmi przenosi się do rodziny zamieszkującej we wsi Cieciorki, gdzie przebywa do roku 1923.

W tym roku powraca z Francji kuzynka Babci i proponuje przeniesienie się wraz z dziećmi do Jej domu w Markach pod Warszawą. Babcia opiekuje się Kuzynką ( która jest chorą, starszą panią) i swoimi dziećmi, które mają tu lepsze warunki niż na wsi. Najstarsza córka Nastazja, za namową Kuzynki wyjeżdża do Jej znajomych we Francji, gdzie łatwiej o pracę. Część zarobionych pieniędzy przesyła rodzinie w Polsce, poznaje tam też swojego męża Romana Zaniewskiego, do Polski wracają ( z dwoma synami) w 1937r. Jeden z tych synów - Stanisław, będzie za kilkanaście lat pułkownikiem – jednym z Pierwszych polskich pilotów samolotów odrzutowych. Córki : Zofia, Jadwiga, Kazimiera (moja Mama) i Wanda, przenoszą się do podwarszawskiej dzielnicy – Włochy, Natalia z dziećmi i mężem Romanem zamieszkują również pod Warszawą, w dzielnicy Ząbki.

W 1938 roku, po krótkiej chorobie umiera Babcia Felicja. Zostaje pochowana na cmentarzu we Włochach.

Nadchodzi najgorszy w dziejach ludzkości rok1939. Podobnie jak przed blisko ćwierć wiekiem, świat zaczyna się niebezpiecznie „burzyć”.

Tragiczna pierwsza wojna światowa niczego ludzi nie nauczyła, potworni ludzie tacy jak: w Niemczech – Hitler, we Włoszech – Musolinii, w Związku Radzieckim Stalin, „przejęli” władzę nad światem. Konflikty i różne lokalne awantury nie spotykał się z ostrym sprzeciwem. Szczególnie w Niemczech polityka gigantycznego drania Hitlera nie tylko nie była potępiana, ale wręcz zyskiwała zwolenników.

I stało się we wrześniu 1939 roku, Niemcy napadli na Polskę, rozpoczynając najokropniejszą, najstraszniejszą w dziejach ludzkości II wojnę światową .

Babcia Kazimiera

Jak już opisywałem wcześniej moja Mama miała na imię Kazimiera, nazwisko Jastrzębska była piątym dzieckiem Stanisława i Felicji Jastrzębskich, urodziła się na Polesiu w 1913roku. Po śmierci mojego dziadka Stanisława, Babcia Felicja musiała opuścić leśniczówkę w której zamieszkiwała wraz z mężem i dziećmi, i przeniosła się na krótki okres w okolice Zambrowa, a następnie pod Warszawę – początkowo do Marek, następnie do podwarszawskiej dzielnicy noszącej nazwę Włochy. Tu moja Mama Kazimiera, podobnie jak jej siostry i bracia, kończyli szkoły i podejmowały pracę.

Rok 1938, był bardzo smutny dla babci Felicji mojej Mamy i jej sióstr : na początku lata, w jednym ze stawów mieszczących się na terenie Marek, utopił się brat Jan. Ta tragedia wstrząsnęła szczególnie silnie Babcią Felicją. Stan Jej zdrowia pogarszał się w ogromnym tempie, lekarze byli bezradni, zmarła w listopadzie.

Moja Mama po pewnym okresie nauki i praktyki została kosmetyczką i fryzjerką, czasami wspominała swoją pracę w zakładach mieszczących się w Warszawie na ulicach: Mazowieckiej i Świętokrzyskiej. Na początku roku 1939 stać ją było na wynajęcie małego mieszkanka przy ulicy Mazowieckiej, ale bardzo często odwiedzała swoje siostry mieszkające

Podobnie jak w przypadku rodziny mojej Mamy, o rodzinie mojego Taty też będę opisywał wszystko co zapamiętałem, głównie na podstawie opowieści mojego Taty, sióstr mojego Taty: Anny i Bronisławy, oraz ciotecznych sióstr: Tereski i Zuzanny – u nich często bywałem w czasie wakacji .

Babcia ze strony mojego Taty miała na imię Stanisława, nazwisko Królik. Kiedy została żoną mojego Dziadka przyjęła jego nazwisko – Zagawa.

Dziadek ze strony mojego Taty miał na imię Franciszek, nazwisko Zagawa - takie jak ja i mój syn Krzysztof i mój wnuczek Szymuś i jakie będzie miał w przyszłości syn Szymusia i ii…...

Babci Stanisławy prawie nie pamiętam, ponieważ umarła kiedy miałem kilka lat, wiem, że przed śmiercią długo chorowała.

Dziadek Franciszek zmarł w czasie II Wojny Światowej w roku 1943, ja urodziłem się dwa lata później w 1945 roku. Dom, w którym mieszkali moi Dziadkowie, a także mój Tata kiedy był dzieckiem, trochę pamiętam i tak go namalowałem (ten mały domek, który stoi po lewej stronie – to piec, w którym wypiekano chleb, najczęściej raz na tydzień).

Dziadek Franciszek był potomkiem (prapradziadków, którzy byli Tatarami krymskimi). Książę Radziwiłł wziął ich do niewoli i osiedlił w swoim Księstwie Łowickim. Część z nich wykupiła się i wróciła do Azji, innym podobała się Polska, przyjęli wiarę chrześcijańską i polskie obywatelstwo, zostając tu na zawsze.

Babcia Stanisława i Dziadek Franciszek mieli dość duże gospodarstwo rolne we wsi Arkadia niedaleko miasta Łowicz, ( wieś ta znana jest z parku, który tu nad rzeką Skierniewką urządzili Radziwiłłowie).

Jak wynika z opowieści mojego Taty – żyło im się dość dobrze, mieli podobnie jak rodzice mojej Mamy siedmioro dzieci: Antoniego, Jana (który był moim Ojcem), Annę, Bronisławę, Franciszka, Marię, Józefa. Imię Franciszek musiało się bardzo podobać moim Dziadkom (bo Dziadek i piąte dziecko mają takie samo imię).

Pracy w gospodarstwie był tak dużo, że tak jak to wspominał mój Tata – w pewnych okresach Dziadek Franciszek musiał zatrudniać komorników, (tak nazywano ludzi przyjmowanych do pracy).

Wieś Arkadia, podobnie jak inne wioski „Księstwa Łowickiego”, charakteryzują się wyjątkową czystością. Byłem kiedyś świadkiem, jak w sobotę wszyscy mieszkańcy wioski zamiatali podwórka i drogi przed swoimi domami, jak ścieżki i drogę posypywano piaskiem, jak malowano płoty, chałupy i budynki gospodarcze. Porządki czyniono również w mieszkaniach, mówiono mi, że takie prace przeprowadza się w każdą sobotę (no chyba, że jest sroga zima, lub straszliwa burza w lecie).

W domu Dziadków Stanisławy i Franciszka, byłem kilkakrotnie, ale jak wspominałem Dziadkowie już nie żyli, mieszkał w nim ich syn Franciszek wraz z rodziną (żoną i córką), oraz córka Anna z dwiema córkami ( Teresą i Zuzanną).

Syn Dziadków – Franciszek, czyli mój wujek, był moim ojcem chrzestnym. Anna – moja ciocia, straciła męża, który był partyzantem w Oddziałach N.S.Z (Narodowe Siły Zbrojne, zwani też „Żołnierze Wyklęci” – kiedyś będziesz się Szymusiu uczył o tym w szkole).

Te Oddziały walczyły jeszcze po zakończeniu II Wojny Światowej i nie zgadzały się na poddanie Polski Związkowi Radzieckiemu ( tak wówczas nazywała się Rosja).

Ciocia Anna, musiała więc sama wychowywać dwie córki: Tereskę i Zuzannę – co w tamtych trudnych czasach, w Polsce zniszczonej wojną było bardzo ciężkim zadaniem.

To właśnie od cioci Anny dowiedziałem się, że mój Tatuś jak był kilkunastoletnim chłopcem i chodził do gimnazjum w Łowiczu, bardzo ładnie rysował i malował – często przychodziły do niego dzieci z wioski, a on im malował portrety (zazwyczaj ołówkiem, lub kredkami).

Ja pamiętam tylko kilka obrazków – pejzaże gór, jezioro i sanatorium w Kudowie, gdzie Tata przebywał na leczeniu (były to naprawdę bardzo ładne akwarele) - a portret jakiegoś starszego pana wykonany ołówkiem był naprawdę fantastyczny.

Żałuję, że byłem za mały, żeby Go zmusić do malowania, ponadto Był tak zapracowany, że nie Miał na to czasu.

Nie wiem, dlaczego żaden z obrazów mojego Taty się nie zachował. Może zaginęły w czasie licznych przeprowadzek, które dokonywali moi Rodzice, a o których postaram się coś napisać.

Wujek Franciszek,( kiedy jego córka, oraz córki Cioci Anny dorosły - wyszły za mąż i wybudowały sobie nowe domy), rozebrał stary dom Dziadków ( Stanisławy i Franciszka) i wybudował nowoczesny dom, zupełnie inny od starej chaty, która nie miała salonów i łazienek, ale była przytulna, można powiedzieć, że miała „duszę”.

Teraz opowiem o swojej Mamie

Moja Mama – o czym już wcześniej pisałem, urodziła się w 1913r, na Polesiu, nazywała się Kazimiera Jastrzębska, z zawodu była (kiedyś to się mówiło fryzjerka - manikiurzystka ) obecnie kosmetyczka.

Do wybuchu II Wojny Światowej, mieszkała (na ulicy Mazowieckiej 6) i pracowała w Warszawie, po wybuchu Wojny przeniosła się do Włoch, które w tym czasie były podwarszawską wioską, a obecnie są dzielnicą Warszawy. Zamieszkała tu w budynku w którym mieszkała Jej siostra Zofia wraz z rodziną.

Budynek ten nie został zniszczony w czasie wojny, stoi nadal w dzielnicy Włochy – (blisko twojego domu) przy ulicy Kleszczowa 11.

Moja Mama, była osobą o dużym temperamencie, bardzo zaradna, odważna, jak to się mówi nie bała się żadnej pracy, ani żadnych trudnych sytuacji, chętnie pomagała innym, ale była też bardzo wymagająca.

Bardzo wstrząsającą historię którą mi opowiedział moja Mama, a która w pewnym stopniu może pokazać jakim była człowiekiem postaram Ci się opisać.

Był listopad 1944 roku, moja Mama była w ciąży (to znaczy miała bardzo duży brzuch, a w nim siedziałem ja).

Pewien nieznany „posłaniec” dostarczył mojej Mamie tajny list od mojego Taty.

Dla Mamy był to szokująca, a zarazem szczęśliwa wiadomość – bo od prawie miesiąca nie miała żadnej wiadomości, czy jej mąż żyje.

Mój Tata, po Powstaniu Warszawskim został wywieziony do Niemiec i przymuszony do pracy w jednym z wielu obozów jakie pobudowali hitlerowcy na terenie rzeszy.

Ponieważ Tata uczył się w gimnazjum języka niemieckiego i znał go dość dobrze, bo Był człowiekiem bardzo obowiązkowym i jak coś robił, lub się czegoś uczył – to zawsze bardzo dokładnie – podobnie jak Jego prawnuczek Szymuś) – więc pewnego dnia postanowił uciec z tego obozu. Była to decyzja niezwykle odważna – gdyby został zatrzymany przez niemiecką policje – zostałby skazany na karę śmierci.

Wiedział jednak, że jego żona spodziewa się dziecka, a w tym czasie toczyła się wojna i samotnej matce z dzieckiem, było bardzo trudno przeżyć.

Jak wiem z opowiadań mojego Taty, podróż do Polski odbywał wagonami towarowymi, przeważnie nocą, żeby spotykać jak najmniej ludzi i przeważnie na zderzakach wagonów (to takie, miejsca w których wagony się ze sobą łączą) jest tam zimno, brudno i bardzo niebezpiecznie – trzeba się mocno trzymać żeby nie spaść pod koła jadącego wagonu).

Ubrany Był na szczęście w mundur kolejarza, co prawda polskiego, ale ponieważ po przegranej wojnie Niemcy wzięli Nas do niewoli wraz z Polską Koleją i zatrudniali kolejarzy również na swoich terenach, więc widok polskiego kolejarza nie wzbudzał wielkich podejrzeń u niemców, tym bardziej że ten kolejarz posługiwał się językiem niemieckim.

Na podróż do Polski udało się mojemu Tacie „zorganizować” jeden bochenek chleba, który musiał wystarczyć na pożywienie przez wiele dni. Więc kiedy, po tygodniu takiej podróży dotarł do wioski Arkadia w której mieszkał Jego brat Franciszek i siostra Anna, wyglądał jak chudzielec i z trudem mógł się utrzymać na nogach.

Rodzeństwo nakarmiło i napoiło „Zbiega” i szybko ukryło w wykopanej w ziemi piwnicy w której przechowywano kartofle i buraki. Lepiej żeby nikt Go nie widział - przecież z pewnością Był poszukiwany przez Niemców.

Spał całą noc i prawie cały dzień, a kiedy się obudził, napisał list do mojej Mamy, który Ciocia Anna wraz z Wujkiem Frankiem przekazali w wielkiej tajemnicy bardzo zaufanemu znajomemu, który dostarczył go również w wielkiej tajemnicy mojej Mamie.

W liście tym Tata prosi żeby Mama załatwiła dowód osobisty i „lewe dokumenty o pracy” Tak się w czasie wojny nazywało nieprawdziwe zaświadczenie, że ktoś – na przykład Jan Zagawa pracuje - najlepiej w firmie budowlanej i właśnie teraz jedzie po materiały budowlane. Policjanci niemieccy, a czasem (wstyd powiedzieć – „ polacy zdrajcy”, też byli policjantami) zatrzymywali ludzi na ulicach, dworcach, pociągach i żądali takich zaświadczeń, kto ich nie miał był aresztowany. W przypadku mojego Taty było to bardzo groźne, ponieważ wyszło by na jaw, że jest uciekinierem, a wówczas kara była tylko jedna – kara śmierci.

Takie zaświadczenia (z narażeniem własnego życia) wdawali właściciele różnych firm – jeśli byli ludźmi dobrymi to za darmo, ale czasem tak bywało, że ludzie podli żądali za takie zaświadczenie dużo pieniędzy.

Moja Mama – jak wspominałem pracowała przed wojną w zakładzie fryzjersko kosmetycznym, którego właścicielem był Niemiec od wielu lat mieszkający w Warszawie (posiadał tu kilka takich zakładów fryzjerskich) – musiał to być wyjątkowo dobry człowiek, bo aż trudno to sobie wyobrazić, że właśnie do niego zwróciła się moja Mama z prośbą o pomoc w załatwieniu tych „lewych papierów”.

W tym czasie Warszawa była po Powstaniu, tak zniszczona, że praktycznie nie istniała – ten Niemiec u którego pracowała moja Mama mieszkał w Milanówku.

Skąd o tym wiedziała moja Mama, jak go odnalazła i w jaki sposób takie „papiery” ten niezwykle szlachetny Niemiec załatwił – nie wiem.

Wiem tylko, że po wojnie moja Mama starała się Go odszukać, ale nadaremnie, niektórzy jego sąsiedzi mówili, że wrócił do Niemiec, ale inni twierdzili że tuż przed zakończeniem wojny aresztowało Go gestapo (niemiecka policja).

No i teraz następny problem, jak te „papiery” dostarczyć mojemu Tacie ?

Na „szalony” pomysł wpadła moja Mama – postanowiła, że sama je dostarczy.

Tłumaczyła, że kobieta w ciąży nie będzie wzbudzała u Niemców podejrzeń, nie chce nikogo narażać i chce spotkać się z Mężem.

Ponieważ jak już wspominałem – była osobą bardzo upartą, więc zrobiła to co wymyśliła.

Jakim cudem na stacji Włochy Wsiadła do pociągu który się tu zatrzymał, ale był w całości wyładowany rannymi żołnierzami niemieckimi, których transportowano w kierunku rzeszy, czyli na zachód, skąd Wiedziała – a raczej podejrzewała, że transport ten zatrzyma się w okolicach Łowicza tego nie wie chyba nikt.

W wagonie był smród krwi, jęki rannych, atmosfera jaką sobie trudno wyobrazić, Mama stanęła w jakimś wolnym kąciku.

Ale już po chwili kiedy pociąg ruszył - jeden z rannych Niemców (nogi miał sprawne, jedną rękę zabandażowaną) poderwał się z ławki, chwycił Mamę zdrową ręką za włosy, nogą zaczął kopać w drzwi, krzyczał przy tym okropnie - drzwi się otworzyły – jeszcze moment i Moja Mama wraz ze mną zginęła by, wypadając z pędzącego pociągu.

Nagle cud – wstaje z ławki ranny, obandażowany jak mumia niemiecki oficer, uderza w twarz żołnierza który ciągle próbuje Mamę wypchnąć z pociągu, rozpoczyna się straszliwa awantura między Niemcami, po chwili ktoś zamyka drzwi, ranny oficer sadza Mamę na swoim miejscu, inni przesuwają się, tak że i on może usiąść obok, zaczyna rozmawiać, Mama język niemiecki znała bardzo słabo, ale zrozumiała, że jej wybawca ma też żonę która spodziewa się dziecka, że jest ranny w głowę i grozi mu utrata wzroku.

Próbował dowiedzieć się dlaczego kobieta w takim stanie wybiera się w taką podróż. Mama opowiadała mi, że dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę jak bardzo tą podróżą naraziła nie tylko siebie, ale też Tatę i całą Jego rodzinę.

Niemcy mogli powiadomić swoją policje, a ta z pewnością wymusiła by zeznanie – dokąd i poco Mama jedzie. Za ukrywanie zbiega groziła kara śmierci nie tylko zbiegowi, ale i tym którzy go ukrywali.

Na szczęście ten niemiecki oficer musiał być niezwykle dobrym człowiekiem, w co w tamtym okrutnym czasie trudno było uwierzyć.

Następnym niesamowicie trudnym problemem przed którym teraz stanęła Mama było zorientowanie się gdzie znajduje się pociąg i kiedy z niego wysiąść. Takie „pociągi specjalne” nie zatrzymywały się na wszystkich przystankach, a tylko na stacjach, w takich przypadkach, kiedy na przykład, trzeba było przepuścić inny ważniejszy pociąg. Mogło się tak zdarzyć, że w okolicach Arkadii, gdzie ukrywał się mój Tata pociąg się w ogóle nie zatrzyma. Po około godzinnej jeździe, pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji, Mama nerwowo spoglądała w okno, ale, nic nie było widać, stacje kolejowe w czasie wojny nie były oświetlane, żeby nie były widoczne dla, ewentualnych nalotów samolotowych. W pewnym momencie usłyszała rozmowę na zewnątrz wagonu, a w tym usłyszała Żyrardów – to Ją trochę uspokoiło, Jechała w dobrym kierunku. Po jakimś czasie lokomotywa gwizdnęła, szarpnęła wagony, pociąg jechał dalej. Ranny oficer i wielu innych żołnierzy „twardo” spali, przeraźliwie chrapiąc. Mama nieraz wspominała, że takiego chrapania nigdy więcej w życiu nie słyszała.

Miała teraz nad nimi pewną przewagę – oni twardo spali, Ona czuwała, ale czas płynął niezwykle wolno.

Po pewnym czasie, który Mamie wydawał się wiecznością pociąg zaczął hamować, słychać było charakterystyczny szum, niektórzy ranni obudzili się, ranny oficer również.

Zaczął coś do Mamy mówić, ale Ona myślała tylko o jednym gdzie jest – bo sądząc po czasie jazdy powinna być w okolicach Łowicza. Wstała, podeszła do okna starała się coś dostrzec. Noc była na szczęście księżycowa i to był następny cud, właśnie na ścianie jakiegoś budynku stacyjnego dostrzegła napis : Bobro….tak, to mogły być Bobrowniki, a więc stacja najbliższa wsi Arkadia, w której przebywa Jej Mąż Jan.

Najszybciej jak Mogła, zaczęła dziękować niemieckiemu oficerowi, oczywiście w języku niemieckim, on odpowiadał coś co miało przypominać język polski pomógł Mamie wysiąść z wagonu i tak się rozstali. Mama skierowała się w kierunku budynku stacyjnego, bardzo się obawiała, żeby nie spotkać przypadkiem jakiegoś policjanta – wszystko jedno czy niemieckiego, czy „niby” polskiego, no i ponownie szczęście – zza węgła budynku wyłonił się jakiś kolejarz, zapewne pracownik stacyjny.

Człowiek ten gdy zobaczył Mamę był tak przerażony, jak by zobaczył ducha. Mama zapytała zdecydowanym głosem – w którą stronę do Skierniewic! Wystraszony człowiek wskazał ręką i chciał jeszcze coś powiedzieć, ale tylko wyszeptał - co ,co pani - Mama szybkim krokiem ruszyła we wskazanym kierunku.

Jak mogła najszybciej przeszła kilkadziesiąt metrów, poczym zawróciła w jakąś uliczkę i zaczęła iść w przeciwnym kierunku wskazanym przez nieznanego człowieka.

W nocnej ciszy odezwały się jakieś psy zamieszkujące w pobliskich gospodarstwach, na szczęście to szczekanie zaczął zakłócać jakiś przejeżdżający pociąg.

Uliczka się kończyła, jeszcze do pokonania jakieś krzaki, no i zaczyna się niewielki nasyp kolejowy, z torami i wąską ścieżką wiodącą w kierunku Łowicza ?

Szymusiu, czy zauważyłeś - Twoja Prababcia Kazimiera zapytała nieznajomego pana „ w którą stronę do Skierniewic”, a teraz idzie w kierunku Łowicza , czyli Arkadii – gdzie przebywał Jej Mąż Jan – dlaczego?

Otóż Szymusiu Twoja Prababcia obawiała się, że ten nieznajomy wystraszony człowiek może komuś na przykład policjantowi powiedzieć, że jakaś nieznana pytała o drogę, jeśli zechcą Ją dogonić to się oszukają.

No nareszcie, moja mama odetchnęła z ulgą – teraz jeszcze około pięciu kilometrów marszu i będzie na miejscu. Wokół było ciemno, ale na szczęście księżyc przyświecał, no i jak to często mówiła (co się ostatnio sprawdzało) wszystko w rękach Boga.

Nagle Usłyszała odgłos pociągu. Nie mogła nadużywać szczęścia, nawet w nocy ktoś z jadącego pociągu mógł Ją zauważyć. Na szczęście nasyp kolejowy nie był wysoki, a w dole rosły krzaki, zrobiła kilka kroków w dół, wcisnęła między gałązki, w dzień taka kryjówka nic by nie dawała, ale w nocy powinna wystarczyć – pociąg był już tuż, tuż, poznała go pomimo ciemności – to był ten którym jechała.

Ponownie musiała wejść na nasyp i iść dalej, jeszcze trochę i zacznie się oddalać od torów kolejowych i zbliżać do rzeki Skierniewki, - muszę wytrzymać powtarzała w myślach.

Idąc w takim osamotnieniu w ciemnościach w głowie człowieka kręcą się różne myśli zmęczenie zaczyna dokuczać, coraz częściej przychodzi zwątpienie – czy wytrzymam, moja Mama wspominała, że to było najgorsze.

No i widać już odbijające się w księżycowym świetle smugi wody. Zostawiła kolejowy nasyp z jego torami i zaczęła się zbliżać do rzeki, no jakaś odmiana, pomyślała a i do celu bliżej.

Droga wzdłuż rzeki nie była łatwa, były dołki z błotem, z wodą, a niektóre pokryte cieniutkim lodem. Koryto rzeki, było miejscami nawet kilka metrów w dole, rosnące przy nierównej ścieżce krzaki w dzień nie stanowiły problemu, ale w nocy bardzo utrudniały marsz.

Zmęczenie coraz bardziej zaczynało dokuczać, chmury na szczęście poszły na południe i księżyc świecił jakby silniej, Pomyślała dam radę, do Arkadii musiało być już chyba niedaleko, zdawało się, że słychać było szczekanie psów we wsi.

Nagle z przerażeniem i ogromnym zdziwieniem dostrzegła przed sobą idącego człowieka.

Szedł przed Nią w tym samym kierunku, jeszcze przed chwilą nie było go widać, dzieliła ich odległość może kilkudziesięciu kroków.

Co w tej sytuacji robić, bez większego wysiłku może go dogonić, ale jeśli to jakiś przestępca, kto o tej porze idzie sobie wzdłuż rzeki, no ale sama też idzie. Minęło już kilka minut, a odległość między Mamą, a tajemniczym człowiekiem nie zmieniała się – szli tym samym tempem.

Wreszcie Mama nie wytrzymała, pomimo ogromnego zmęczenia zdecydowanie przyśpieszyła. Rzeka w tym miejscu zakręcała, brzeg obrośnięty kępą drzew wyraźnie górował nad lustrem wody, na niebie nie było chmur, więc księżyc mocno oświetlał drogę, tak, że pomimo licznych nierówności polnej ścieżki biegnącej wzdłuż rzeki można było iść szybciej.

Już po chwili prawie dogoniła nieznajomego, Chciała się do niego, odezwać, pozdrowić, nawiązać rozmowę - gdy nagle ten, odwrócił się w stronę rzeki i w szalonym tempie, zbiegł w dół. Przerażona Mama – przez kilka sekund stała w bezruchu, ale nie miała innego wyjścia przecież musiała iść dalej, wykonała trzy kroki do przodu, patrząc w dół skarpy.

To co zobaczyła załamało Ją całkowicie. Nieznajomy stał na wodzie, pochylony głęboko do przodu, tak że ręce miał zanurzone w wodzie, na głowie miał czapkę zimową z daszkiem.

Głowa była tak mocno odwrócona w kierunku Mamy, że widziała jego twarz. Światło księżyca nie tylko oświetlało tą twarz na której malował się szyderczy uśmiech, ale tworzyło jakąś piekielną aureolę. Widok był nie do zniesienia.

Co się dalej działo Mama dokładnie nie pamiętała – Wiedziała tylko, że biegła, że się kilka razy przewróciła, że przez jakiś czas leżała na ziemi, że kiedy wreszcie jakoś się opanowała była blisko zabudowań pierwszego z gospodarstw Arkadii.

Psy ujadały zaciekle, jeden, który wydostał się poza ogrodzenie próbował Ją zaatakować, Była tak zmęczona fizycznie i psychicznie, że po raz pierwszy w czasie tej niesamowitej podróży było Jej „wszystko jedno”.

Co się działo dalej dowiedziała się dopiero następnego dnia od gospodarzy do których dotarła i od swojego Męża – czyli mojego Taty, od moich Dziadów i reszty rodziny.

A było to tak:

Na szczęście ci gospodarze, a właściwie Pani gospodyni trochę źle się czuła i nie mogła spać. Kiedy usłyszała ujadanie psów obudziła swojego męża, ten trochę był zły że go żona budzi, ale ponieważ psy ciągle szczekały, pomyślał że to może złodzieje, więc obudził dwóch synów i razem uzbroiwszy się w siekiery i widły wyszli przed dom.

Jak już wspominałem noc była księżycowa, więc szybko zobaczyli, że to nie złodzieje, ale samotna kobieta. Byli bardzo zdziwieni skąd tu na wsi, w nocy kobieta. Na szczęście jeden z nich rozpoznał Mamę – widział ją kiedyś z moim Tatą. Ponieważ mama była w takim że nie mogli się od Niej wiele dowiedzieć – więc Ją odprowadzili, a właściwie odnieśli do domu w którym mieszkała rodzina Taty.

Tu było całkowite zdziwienie i przerażenie, Mama z trudem wypowiedziała – dajcie mi pić, zaczęła płakać, przytuliła się do Taty i usnęła.

Ze wspomnień Taty wiem, że siedział przy niej do rana, że zrywała Się ze snu, coś mówiła, po polsku i po niemiecku, dopiero po południu się obudziła i zaczęła sobie przypominać i opowiadać co się wydarzyło.

Kiedy Wyjęła zawiniątko, a w nim te dokumenty, które przywiozła, Tato był „załamany”.

Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę jak Mama się narażała.

Moja Babcia i Ciocia Anna, bardzo się martwiły zdrowiem Mamy i namawiały Ją żeby się udała do lekarza.

Jeszcze kilka zdań i zakończę tą opowieść.

Historia mojej Mamy, a właściwie ta część, która opowiadała o nieznanym człowieku wchodzącym do rzeki odżyła po roku.

Jak to zwykle bywa dziwne zjawiska bardzo intrygują ludzi – tak też było i w tym przypadku. Jak to się stało, że wielu ludzi w Arkadii dowiedziało się o przygodzie Mamy nad rzeka, trudno powiedzieć, na pewno rodzina w tajemnicy opowiadała znajomym, a ci w tajemnicy opowiadali to innym. Byli tacy którzy w to wierzyli, inni twierdzili, że zmęczonej potwornie kobiecie coś się przewidziało.

Nagle po blisko roku, jeden z mieszkańców Arkadii wiózł wozem ciągnionym przez dwa konie zboże do młyna. Wybrał drogę wzdłuż rzeki, ponieważ w pierwszych latach po wojnie były obowiązkowe dostawy płodów rolnych i za posiadanie zboża nie zgłoszonemu „państwu” groziły kary. Jadąc wzdłuż rzeki omijał ewentualne kontrolę milicji.

Dwa konie bez problemu ciągnęły wóz, aż nagle zaczęły szarpać, stawać na dwóch nogach, gospodarz nie mógł ich powstrzymać, wreszcie razem z wozem wpadły z wysokiego brzegu do rzeki. Gospodarz był ranny, konie również, wóz uszkodzony, zboże zniszczone.

Na pomoc gospodarzowi który uległ wypadkowi przybyli sąsiedzi i przy użyciu lin i innych koni zaczęli wydobywać zboże i uszkodzony wóz. Nagle przerażenie, w rzecznym piasku znaleziono ciało mężczyzny. Nie było innego wyjścia wezwano milicje.

Jak wykazały badania kryminalistyczne ciało tego człowieka przebywało tu około roku.

W Arkadii zawrzało – miejsce wypadku pokrywało się z opisem mojej mamy, więc posypały się domysły, czy widziała żywego człowieka, czy jakąś zjawę.

Stare opowieści ludzi którzy posiadali konie mówią że, to bardzo mądre zwierzęta, obdarzone instynktem którego nie posiada człowiek, że wyczuwaj, zjawiska tak zwane „nadprzyrodzone”. Szczególnie na wsi, ludowe opowieści pełne są skrzatów, duchów, wiedźm i różnych „widziadeł”, więc nie ma w tym nic dziwnego, że przez wiele miesięcy, a może i lat, o tym mówiono, a moja mama stała się osobą znaną we wsi.